

wódz naczelny dosięgnął ciżby, już jeno pogodne napotkał oblicza, jeno wynurzenia przyjaźni, hołdy, życzenia i komplementy.

Aż imć pan Ostrowski dał znak. Kapele umilkły. Przed ołtarzem amarantowy ornat kapelana się skłonił. Modły trwały krótko, tyle aby po Bożemu zacząć i pieśnią wspólną się wzmocnić. Zaczem tarabany z piszczałkami zadudniły pobudkę na siadanie do stołów. Wstęgi wojska rozpadły się, broń w koźły złożyły i dalejże do jadła.

Kapele polonezami spłynęły — lecz na krótko, bo teraz na stoły oficerskie przysła kolej prowadzenia fety. Więc, ledwie rozprawiono się z pierwszym daniem — dźwignął się wódz naczelny i kielich na cześć walecznych wniósł, sekundowany przez fanfary i hukanie biesiadujących. Za naczelnym wodzem imć pan Ostrowski, kunsztownie wyłożywszy, za czym to przewodem tyle męstwa okazali ojczyzny wojownicy a kto nie rozkazywać tylko umie, lecz i samemu przykładem świecić i samemu z karabinem stawać, zdrowie Skrzyneckiego wychylił. Za Ostrowskim poszli inni. I pito na księcia prezesa uczczenie, na Rządu wiecznotrwałą moc, na sejm i senat odrodzonego powagę, pito za wszystkich walecznych społeczeństw, za generałów zdrowie, za sztabu nowego naczelnika, za krzyża wojskowego kawalerów. Serca gorzały, promieniały oblicza, oczy lśniły, coraz gęściej rosa perliła się na powiekach. A kapele grały hymny i marsze, pobudki i fanfary — a biesiadujący żołnierze świadczyli oficerskim stołom wybuchami okrzyków. Aż imć pan Ostrowski znów na adjutantów skinął. Kapele umilkły na chwilę i uderzyły na uczających polonezem Kościuszki. Skrzynecki porwał się i rękę generałowej Prądyńskiej podał. Łubieński do małżonki naczelnego wodza się podsunął. Za Łubieńskim, generałowie, senatorzy, dostojnicy, sztabowcy ku dąmom poskoczyli — pary ustawiły się i polonez ruszył ku głównej alei. Lecz zaledwie jej dosięgnął, już wpadł w swywołne tony zamaszystej polki. Żołnierze porwali się z miejsc, fala tłumu runęła ku mundurom, zmieszała się z nimi i zawirowała.

Skrzynecki puścił panią Prądyńską. Generałowa poszła teraz w tany z prostym żołnierzem. Skrzynecki powiódł w chuścinę i perkaliki strojną mieszczkę.

— Wiwat wódz! — Wiwat naród!

Główna aleja a za nią trawniki i polany ogrodowe wypełniły się tańczącymi parami.

I Ogród Saski aż drżał w posadach od serdecznej ochoty, aż stuletnie dęby i lipy chwiały ze zdumieniem koronami, aż mury Saskiego pałacu rumienity się dwakroć mocniej i pewnie nie dla chylącego się ku zachodowi słońca. A kamienne twarze bogiń, bożków i muz, zdobiących ogród, ożywiały się.

Ha, bo jak ogród ogrodem takiego nie oglądał w swem tonie mrowia, takiej fety. Bywały tu rozmaite biesiady, bywały i tańce i za Fleminga i za Brühla i takie, które królewski majestat swoją obecnością zdobił — lecz tylej ciżby, tylego zapamiętania, tylego braterstwa stanów i za majowych dni nie pomniał nikt z ogrodowej starszyny.

Za majowych przysięg i solennego z ludem przyrzeczenia, była znaczna stanów szczerość, ale było i onieśmienie. Każdy rozumiał, że chociaż niby równość się narodziła, lecz nierówność precz chodzi po świecie! A teraz gdzie! Damy w sajetach, fiokach, bransoletach, pantofelkach, napudrzone, wychuchane same wieszają się na ramionach pospolitaków ułanów, piechurów, strzelców, woluntarzów gwardyjskich, prostaków. Opiekłe mieszczki, dziewczuchy, igłami pokłute palce cisną do akselbantów, srebrnych na kołnierzach haftów, bulionów, gwiazd orderowych, jedwabnych fontazjów, dostojęńskich surdutów, magnackich kontuszów.

Tu czwartak szczerzy czerwoną, bliznami nakreśloną, głębi do marcepanowej buzi grafini a wiotką jej kibicią miecie, niby przysadzistą Zośką wachmi-strzanką. Owdzie, na schwał dziewczka wywija wycanym adjutancikiem, że jeno spódnice jej furkoczą. Tu krępa jejmość, co jeno na paradach ułanom się radowała, kula się a tańczy a sapie z ukontento-

wania, niby niedźwiadek po raz pierwszy miodu smakujący. Tam chuda, wystrzelista, zbytkiem panieńskiego stanu udręczona, bladolica dziewczoja aż wypieków dostaje, bo tak dziarsko kusy strzelczyk melancholię z niej wytrząsa. Tu majsterek podstarzały, siwiznę przepomniał i przytupuje do kumki, tu dygnitarz sunie dworsko a gracyą i fantazyą wywołuje aplauzy tłumu — tu cywile wywijają a żołnierzy chcą zakasować — owdzie kawaleria z piechotą, pułk z pułkiem, szwadron ze szwadronem w zawody idą.

Tu zadzierzasty ułan pod boki się ujął i podśpiewuje na przekorę czwartakom:

Hulany panięta  
Pojedli cieleńta  
A piechury rury  
Noszą po nich skóry!

A tam znów czwartak sadi ułanom:

Piechur spi w wygodzie  
Hulan podle szkapy,  
Pan zajada mięso  
A koniuch ochłapy.



Skrzynecki coraz śmiej wyprzedzał ministrów.

Zmierzchało się. Ogniomistrze jeli czynić ostatnie przygotowania do mających zakończyć fetę rac, płomienistych gwiazd i świetlanych pióropuszków. Generał Skrzynecki ze starszszą obchodził znów ogród a snuł się między ciżbą.

Wódz siły zbrojnej był rozpromieniony, rozkołysany dowodami miłości, czci i zapału, którymi co kroku witała go ciżba.

Tryumf, tryumf prawdziwy święcił. On królował i on tylko jeden był przedmiotem owacy, hołdów, uwielbienia. Próbował się nadstawiać książę-prezes, Rząd, posłowie — daremnie. Wobec niego, Skrzyneckiego, zginęli, zczeszli. Po kątach, na stronie kupią się, szepczą, polityczne knują racye. Nie dokażą, bo naród, stolica cała rozumie się na tem, gdzie władzy prawdziwej szukać.

I Skrzynecki kluczył między tłumem a płał się w sławie.

Naraz, ciżba, którą mijał, miast rozsunać się i zawirować mocniej się zwarła.

Skrzynecki stropił się i zwrócił w inną stronę, by się nie naprzykizać tłumowi, gdy jednocześnie jakiś głos wykrzyknął hardo:

— Niech żyje Krukowiecki!

Wódz nachmurzył się. Ciżba zakłótyła się i, nie bacząc na Skrzyneckiego, zawtórowała gromko:

— Wiwat generał-gubernator!

— Precz z kunktatorstwem! — podjął znów pierwszy głos. — Dosyć parady! — Bitwy chemy!!!... Skrzynecki przyspieszył kroku. Kapela, stojąca w pobliżu, zadudniła marszem.

Ciżba ryknęła ponuro — lecz wódz już zmrużył w bok, między korne dlań hukania.

Gdy się to działo, — fala motłochu wszelakiego przed bramą ogrodową, od strony Saskiego Dziedzińca — rosła, wzmagala się a zabiegała, aby choć coś z fety uszczknąć. Trzymający straż gwardziści z żandarmami byli niewzruszeni. A ponieważ karty wstępu dla cywilów szaraków jeno pierwszy pułk gwardyi narodowej rozdawał — przeto kto w pułku znajomka, familanta nie miał albo do dygnitarskiej oficyny dotrzeć nie mógł, tego od bram ogrodowych odprowadzano. Ten i ów z waszeciów paktował ze strażnikami, ten i ów sumitował się parantelą napróżno. Ale byli i tacy, co jakoś dogadać się umieli z argusami fety i ginęli w zaczarowanej bramie — i tacy nawet, co nie wchodząc w układy, pomykali naprzelaj i nikli w snujących się po ogrodzie tłumach, ku okrutnej zazdrości motłochu przed bramą.

Szczególnie na takowe sprawiedliwości pogwałcenie burzała się zestrojona odświętnie jejmość, którą gwardziści, mimo prośby i zakłęcia, od bramy sromotnie odprowadzili.

— Patrzcie, dopiero ci porządek! Dla luda wszelkiego parady publikowali a teraz mi tu wstręty czynią! Widzicie ich, rządzących z morskiej piany.

— Niech wasani krwi sobie nie psowa po próżnicy! — upominał jejmość pękaty gwardzista. — Rozkaz taki i tyle. Kto z wojskowego stanu czyli przepustkę ma, ten ma wchód!

— Mościu! Z wojskowego stanu! Jeszcze wasan z koszulą w zębach żołnierzy, kiedy mój nieboszczyk ze złotym krzyżem chodził! Rycerze! Nauczylbyś się wasan choć mundura nosić!!!...

Ciżba dokoła jejmości parsknęła śmiechem.

Gwardzista nasrożył się.

— Miarkuj się wasani, bo na ratusz pójdziesz!

Jejmość aż zatoczyła się z pasyi.

— Mnie, mnie, obywatelce, posesorcie osiedziały, ratuszem będziesz groził! Ty — ty kielbaśniku, medli-kiszko rzeźnicka, zapomniawszy, komuś smalec nosił do pączków!

— Pani Madejowa! — bąknął skonfundowany gwardzista i zmrużył ku bramie.

Jejmość nie dała się atoli udobruchać rejteradą i mocniej jeszcze pofolgowała sobie, ku wielkiej ucieście gawiedzi, która zwarła się dokoła pani Madejowej i głośnie świadczeniem podniecała jej mówność.

— I ma ci z tego Polska się uczyć. Lada parobas szabelkę wiesza i spokojnym ludziom ogrodu, bron!

Naści wojaka! Ale niedoczekanie jego! Niech mnie siarczyste a swego nie daruję!

— A tak i waspani nie puszczają! — podjął z boku jakiś głos.

— He! No to jeszcze zobaczymy!

— Widzimy przecież! — Znów dwie dzierlatki się wemknęły!

— Dwie dzierlatki! A co tego, nie daruję, że bym miała do samego prezydenta, do generał-gubernatora...

— Et tam, żebyś wasani gładszą była, to i zaraz byś znalazła racyę...

Jejmości oczy kołem stały na taką przy-mówkę, zdawało się, że runie na impertynenta, któremu z ciżby pogłowia jeno załamany nochał wyglądał.

(Dalszy ciąg nastąpi).